№ 5. Warszawa, dnia (22 Stycznia) 3 Lutego 1900 roku. Rok XLII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:	Z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . **rs. 1**	kwartalnie . . **rs. 1.25**
Za odnoszenie do domu kop. **10.**	półrocznie . . „ **2.50**
	rocznie . . . „ **5.—**

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: **We Lwowie i Krakowie:** Kwartalnie **flor. 1.80.** Na prowincyi **flor. 2.20. W Poznaniu** kwartalnie **mr. 3,** na prowincyi **mr. 3.75.** W innych państwach związku pocztowego kwartalnie **rs. 1 kop. 60,** lub walutą zagraniczną podług kursu.
Agencye główne na Galicyę: **we Lwowie** Agencya dzienników i inseratów **St. Sokołowskiego** Pasaż Hausmana l. 9; **w Krakowie** Księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.** Agencya główna na Niemcy **Księgarnia Świętego Wojciecha** w Poznaniu.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz **petitu** jednoszpaltowy lub jego miejsce **kop. 12** **„Nadesłane"** wiersz garmontu **kop. 50.** Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warszawskie** i znaczniejsze zagranicą. Zmiana adresu kop. 15.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Warszawa, Chmielna 26.—Telefon 106.

SEWER.

LEGENDA.

(Dalszy ciąg).

Nauczycielka wyszła. Za chwilę wróciła z kierownikiem. Dzieci powstały, lecz na skinienie usiadły.

— Bartłomiej Piskorz! — wywołał nauczyciel.

Chłopiec się zerwał.

— Mój Barteczku — rzekł — widzę, że tutaj chcą cię zajmować samemi bzdurami, a ty chcesz nauki, prawda?

— A ino—szepnął Bartek, ośmielając się.

— I niema dla ciebie rady—mówił kierownik—jak tylko ta, abyś się przeniósł do mnie. Będziesz sam sobie siedział w ostatniej ławce, jeden z drugiej klasy, będę cię samego uczył. Zabieraj książki, kajeta—chodźmy.

Bartek posłuchał, kierownik zwrócił się do Zosi:

— Wszystkich podobnych do Bartka przysełaj pani do mnie.

Wyszedł, puszczając Bartka naprzód; dzieci roześmiały się wesoło.

— Dopiero będzie mu się cnęło samemu. Ą dobrze mu tak.

— Nie cieszmy się—przerwała Zosia—z cudzej doli. Może Piskorz woli być sam.

— Nie woli — zawołała Ulina — tylo taki mądrala, jak jego ojciec, kuty a dokuczny.

— Dobrze że go niema, będziemy sami i będzie nam milej—odezwała się cicho chuderlawa dziewczynka. Wielkie jej oczy z poza ciemnych rzęs rzucały smutne blaski.

— Któż jest to dziecko—spytała Zosia.

— Marysia od wdowy Guliczki.

Zosia pogłaskała dziewczę po bladej buzi.

— Jeżeli Bartek wróci, przyjmiemy go serdecznie—nieprawdaż?..

— Nie wróci — zawołały dzieci, bo harny i zaciekły.

— To zostaniemy sami, jak mówi Marysia.

— Sami, sami—powtarzały chórem.

— Z naszą panienką—dokończyła Ulina.

— A teraz, na koniec lekcyi zaśpiewajcie mi dzieci, co wam najbardziej przypada do gustu.

— Możeby „Słonko świeci..."—odezwała się Marysia.

— Marysia sobie życzy „Słonko świeci" — usłuchajmy jej...

Zaczęła dźwięcznym głosem śpiewać pierwsza, dzieci za nią.

Pieśń płynęła przez otwarte okna; w młodych głosach drżała dziecięca wesołość i upojenie radości.

Wybiegły ze szkoły, zrobiło się pusto. Wybielona izba i ławki czarne, długie, milczące. „Nowa" została sama, uśmiechała się czarująco, rada z siebie.

— Dzieci odrazu przygarnęłam. Bartek, to banalność konserwatyzmu i upór oportunizmu. Czuję w Piskorzach wrogów mej miłości do dzieci. Jedne i te same siły rządzą w stolicach i małych wioskach. Jednako ścierają się dwa światy, jednako walczą ze sobą...

Dziewczynki lgną do mnie, Ulina i Marysia uosobione dzieciństwa polskie, pełne szczerości i serdecznego ciepła. Czują we mnie przyjaciółkę, czują, że ich kocham i wyciągają ręce, a ich serca roztwierają się, jako kielichy kwiatów wydających zapach. Z oczu ich po promieniach płynie do mnie miłość... Ufają mi. Nareszcie czuję, że jestem dzieckiem, jak one, bawię się z niemi, są mi drogie...

Wbiegła Józia.

— Zosiu, oczarowałaś dzieci! Cała klasa przepada za tobą. Ulina mi szepnęła, że to chyba jaka święta. Marysia radaby się do ciebie modlić. Jaś mój gdyby umiał zazdrościć, toby ci zazdrościł, bo i on dba o przywiązanie dzieci i on jest dla nich dobry i kocha je!

— Będziemy sobie razem pomagać.

— Pomocy nie potrzebujesz, a zazdrość możesz wzbudzać. Jaś pracuje tu dwa lata, ty jeden dzień i w tym jednym dniu zdobyłaś serca dzieci odrazu. I mamy serce—dodała—i moje!.. Cieszę się tak, jak gdybym ja była na twojem miejscu.

Ujęła Zosię pod ramię, wyszły razem.

Za budynkiem szkolnym, na południe mieścił się półmorgowy ogród, wyłączna używalność kierownika...

— Tu go nie przewyższysz — mówiła Józia otwierając furtkę, tu jego panowanie, tu jego królestwo. Drzewa już zastał, lecz wszystkie róże szczepił sam, grzędy skopał, ścieżki odznaczył, dzielny z niego ogrodnik. Maliny, agrest, porzeczki—jego dzieło. Rano się zrywa i do ogrodu biegnie.

— Lud go naśladuje?—spytała Zosia.

— Nie ma czasu! Przyjdą, popatrzą, pokiwają głowami i mówią: „Gdybyśmy ino mieli czas!.. Ale u nas robota robotę goni. Ogród zabawka, ale małe daje korzyści..." O tak — ciężko pracują na roli i czasu nie mają. Ale przecie róże, georginje, malwy już zaglądają przed chatami do okien z ogródków i stroją się dziewczęta nasze w żywe kwiaty do kościoła, na wesela.

Przy furtce ukazał się kierownik.

— Idzie Jaś, rad pewno, żem cię tu przyprowadziła. Zastąpi mnie, ja wracam pomagać mamie. Panie kierowniku!—zawołała — przynieś parasolkę Zosi, a potem się chwal swojem dziełem.

Wybiegła za Jasiem, Zosia została sama.

— Jakoś się dziwnie składa, jakby umyślnie dla ukojenia mych starganych nerwów... Kwiaty na drzewach jabłoni i grusz—z pączków żywicznych wychylają się świeże listki, a wszystko oblane ciepłem i jasnością słońca! Czuć radość w naturze, radość życia odzyskującego siły... Jakżebym pragnęła, aby i wiosna mego życia splotła się z polską wiosną naszą i zespoliły się w jedno. Ja wiośnie na-

szej daję serce czujące i myśl moją! Serce i myśl odczuwają objawy życia przyrody i krystalizują je. Lecz cóż to obchodzi naturę, kiedy ona sama w sobie czuje i rządzi się swemi prawami, które wypracowała tysiącami lat...

Wrócił Jaś z rozpiętą ponsową parasolką. Ciepła jej czerwień padała na bladą twarz dziewczęcia. Różowiła ją jak biała róża, gdy listki odchyla.

— Panie Janie, pozwolisz, że w powszednie dnie poza szkołą nie będę mu mówić kierowniku.

— Proszę o to panią! Wczoraj byłem śmieszny i wstydzę się tego.

— Ależ nie, wczoraj pan byłeś na swem urzędowem stanowisku. W tej chwili występujesz jako pan swego ogrodu — ogrodnik.

— Dziękuję pani za obronę. Czuję, że w wielu rolach wobec pani...—urwał raptownie.—W szkole odebrałaś mi dzieci, przylgnęły do ciebie, oddały ci się, jak biedne zwierzątka oddają się pod panowanie człowiekowi.

— A tymczasem ja pragnę się oddać pod panowanie pańskiej ogrodniczej wiedzy. Mieszkałam całe życie w mieście, przyrodę znam z książek, na naturę patrzałam podczas spacerów za rogatki, rośliny hodowałam w doniczkach. Nigdy nie dotykałam się roślin. Ucz mnie swej sztuki—będę ci pomagać i pracować razem z tobą.

— Ogród jest nasz wspólny. Chcesz pani ze mną pracować—jeśli się nie znużysz, jeśli się rychło nie znudzisz?

— Natura daje ukojenie, spokój, radość i równowagę. Śledzić jej pracę, chociaż w tym ogródku, to przecież wielka radość.

— Mówi pani jak mędrzec. Kocham ziemię i przepadam za tym jej skrawkiem. Włożyliśmy oboje, przyroda i ja dużo tu trudu i przebiegłości...

— Zwykle kochamy własną pracę...

Nauczyciel obejrzał się czy go kto nie podsłuchuje, zniżył głos i mówił:

— Mam dwa okna inspektów. Niema ogrodu w naszym klimacie bez inspektów. Zasadziłem sześć pestek melona ananasowego i sześć kawonu. Melony wzeszły, idą wesoło. Jeżeli się owoc zawiąże, będzie wielka radość. Józia i jej matka przepadają za melonami.

— Pokaż mi je pan — powiedziała również tajemniczo Zosia.

Jaś poszedł naprzód. Na lekkiej pochyłości południowej za szkłem dwóch okien mieściły się miniaturowe inspekty.

— Otworzyłem idąc do szkoły, świeże powietrze ożywiło je, odżyły delikatne roślinki i patrzą na nas wesoło.

Zosia pochyliła się.

— Gdzie są melony?—spytała.

Wskazał ręką.

— Te delikatne, okrągłe, soczyste listki, podobne bardzo do ogórków. Trzy dni zaledwo je opełłem, już zarosły.

— Opielę je po południu. Można w rękawiczkach?

— Wybornie.

— Powoli opielę panu całe inspekta.

— Za pół godziny paluszki zabolą i mogłyby popuchnąć. Po obiedzie będę przesadzał flance ziemniaków na wczesne — pomoże mi pani?..

— Z radością!

— Pani będziesz je delikatnie wyjmować i zaraz mi donosić, bo schną—ja będę sadził.

— Jeśli potrafię, jeśli nie zepsuję. Rada jestem, a boję się.

— Bo z pani bardzo miłe dziecko — filozof i dziecko—słowem kobieta...

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

John Ruskin.

Dnia 21 Stycznia r. b. zakończył życie człowiek, który silny i głęboki wpływ wywierał na współczesne sobie pokolenia; a po zgonie jego kto wie, czy wpływ ten o wiele jeszcze silniejszym i potężniejszym się nie stanie.

Dwa zasadnicze tony jego twórczości, dwa źródła, z którego wytrysły kryształne, iskrzące się kaskady jego słów to—uwielbienie dla piękna i współczucie dla cierpiących ludzi.

Z tych samych motywów czerpał niejeden współczesny mu pisarz—idee same nie są nowe—ale stopień odczucia, stopień gorąca do jakiego rozpalały one jego duszę — stanowią jego oryginalność i objaśniają tajemnicę jego wpływu.

W epoce, która wydała tyle umysłów sceptycznych i chłodnych, tyle dusz pozbawionych cudownej zdolności wzruszania się — człowiek ten płonął entuzyazmem, kochał potężnie i potężnie nienawidził. Kochał piękno w przyrodzie i w sztuce, wpadał w zachwyt przed biało-różowymi szczytami alpejskich łańcuchów, przed ciszą jezior, przed wdziękiem kwiatów i drobnych mchów; kochał arcydzieła pędzla i dłuta, kochał barwne wspomnienia przeszłości, kochał marzenia wyobraźni swojej, ale bardziej goręcej nad to wszystko kochał tych, którzy cierpią, płaczą i ciemni są.

Esteta ten gromadził koło siebie twardych, surowych ludzi od hebla i pilnika, rozrzucał przed nimi skarby wyobraźni i wymowy swojej, wprowadzał dusze ich do zaczarowanej krainy piękna, by odpoczęły w niej po całodziennym znoju, by skąpały się w odżywczych falach zachwytu, uniesień, entuzyazmu. Dzielił się z nimi tem, co dlań było najdroższem, dzielił się rozkoszą podniosłych, estetycznych wrażeń. Nie potrzebuję dodawać chyba, że dzielił się wszystkiem. Człowiek ten, który po rodzicach odziedziczył znaczny majątek i miliony zarabiał na swoich wydawnictwach, w ciągu życia swego rozdał też miliony.

„Największym wrogiem piękna plastycznego—mówił—jest nędza. W braku uczuć humanitarnych niech zmysł estetyczny popycha nas do walki z nią i do zwycięztwa. Walczmy wszystkimi środkami, walczmy miłością przeciw niezasłużonemu nieszczęściu, a surowością przeciw występkowi. Walczmy słodyczą i siłą, złotem i żelazem! Złoto powinniśmy rzucać pełnemi garściami, jak rzucał ongi klasyczny poeta lilie na groby, jak rzuca róże na łąkę „Wiosna" Boticellego. To, co oddajemy dziś, to jest—nic, trzeba oddać wszystko! Wskazują nam z dumą na szpitale, ochronki dziecięce, przytułki dla starych, bezpłatne apteki i t. p. Cóż to wszystko znaczy! I gdyby to istotnie znaczyło cośkolwiek, to zkądżeby się brała ta obfitość twarzy wynędzniałych na naszych przedmieściach, pokurczonych i nalanych twarzy w więzieniach? Jakiem prawem społeczeństwo może mówić o miłosierdziu, gdy dokoła jest tyle jeszcze niesprawiedliwości, o sztukach pięknych, gdy dokoła tyle opłakanych istnień. Dopóki istoty ludzkie umierają z głodu i chłodu w kraju ojczystym, nietylko nie może być mowy o sztuce, lecz wprost wszelki przepych mieszkania i stroju uważać należy za zbrodnię. Niech raczej rozsypią się w gruzy marmury Fidyasza, i wypełzną barwy kobiet Leonarda da Vinci, niż mamy patrzeć, jak więdną przedwcześnie rysy kobiet żyjących, jak napełniają się łzami oczy dzieci, któreby żyły, żyć mogły, gdyby nędza nie kładła na nich śmiertelnych cieniów. Złoto poświęcone sztuce, kiedy w życiu daje się odczuwać brak jego, straconem jest dla piękna żyjącego. Hańbą jest szukać przyjemności w zbytkownej toalecie kilku kobiet, gdy inne kobiety nie mają w co się ubrać, a chłód, choroby i prywacye nędznego życia sprowadzają zagładę wszelkiego człowieczego piękna."

Nienawidził Ruskin przedewszystkiem egoizmu i wyzysku, nienawidził współczesnych form życia—wielkiego przemysłu zamieniającego człowieka w narzędzie, przykuwającego tysiące jednostek do bezdusznej, mechanicznej pracy, rzucającego bladość na twarze i mrok posępny na dusze. Nie cierpiał wynalazków nowożytnych, ograniczających indywidualność człowieka, pętających przyrodę; był nieprzyjacielem kominów fabrycznych, które kłębami dymu brudzą zielone doliny, i machiny parowej, nieestetycznym kształtem swoim bluźniącej pięknu dolin i przełęczy, wodospadów i jezior, lasów i pól, które przerzyna w dzikim, wściekłym biegu.

Wrogiem był Ruskim filisterskiej obłudy tak ochoczo potępiającej nędzarzy, tak dumnie obnoszącej mieszczańską swoją uczciwość. W roku 1871 pisał:

„Czy komu z was moi przyjaciele wpadł w oczy numer 83 „Graphic'a" z ryciną przedstawiającą koncert u królowej? Piękne damy siedzą tak kokieteryjnie, i tak przyjemnie na nie patrzeć, gdy spełniają wszystkie obowiązki kobiety, polegające na noszeniu z wdziękiem pięknych strojów; śliczna śpiewaczka z białą szyją szczebiocze *Home, sweet home* w sposób tak moralny i tak melodyjny! Oto, jakim być powinien nasz ideał życia cnotliwego — myślał „Graphic!" Istotnie jestesmy spokojni w swem sumieniu z naszemi cnotami w pantoflach jedwabnych i w chusteczkach koronkowych, i nasze królestwo Boże przyszło już w koronach z dyamentów olśniewających. Cherubiny i Serafiny w toaletach paryzkich (kolor błękitny — nieba, zielony — gałązki oliwnej Noego, malwowy — gołąbki rozstrzelanej) tańczą przy muzyce orkiestry Cooka i Tanneya, a piekło ludzi ubogich będzie dydaktycznie przedstawione *en pendant* przez niegodziwość kroczącą do swego nędznego *home*. Robotnik i nafciarka uwięzieni

nareszcie, rzucają spojrzenia niespokojne, idąc na śmierć...

„Niestety z tych dwóch ras rozdzielonych, z których jedna powinna była uczyć drugą i prowadzić ją, któraż więcej zgrzeszyła? Czy ci, którzy nie nauczali, czy ci, których nie nauczano? Którzy są winniejsi? Czy ci, którzy teraz umierają, czy ci, którzy zapominają o tem?

„Robotnik i nafciarka. Oni przeszli już swoją drogę—do śmierci. Ale dla nich Najświętsza Panna Francyi rozwinie swoją oryflammę nad ich grobem. Tak, i dla nich Wielki Karol rozbudzi swego Rolanda, każe mu przytknąć do ust potworny olifant i zatrąbić pobudkę wojenną, na którą zbrojna Dziewica odpowie melodyą z lasów Dom Remy. Tak, i dla nich Ludwik święty, którego wyszydzali, wzniesie ręce ku niebu, i wybłaga pokój Boży!"

W życie umysłowe swojej epoki wniósł Ruskin wiele pierwiastków świeżych: obudził żywe zainteresowanie się malarstwem włoskiem z epoki poprzedzającej Odrodzenie, stworzył szkołę t. zw. prerafaelitów, zwrócił uwagę na przemysł ręczny w przeciwstawieniu do wstrętnego mu wielkiego przemysłu fabrycznego, poddał społeczeństwu swemu myśl ocalenia pięknych okolic rodzinnego kraju od szpecącego je najazdu wielkich, dymiących kominów, wskazywał jako najpierwszy obowiązek społeczny oświatę, pracę kulturalną nad ludem, zakładał dla robotników szkoły rysunków i muzea — ale największą zasługą jego pozostanie, że umiał ze wszystkich współczesnych najsilniej, najpotężniej przemawiać do serc, że wiarą swoją i entuzyazmem porywał niewierzących i wystygłych.

H. C.

DOBROCZYNNOŚĆ.

Inaczej jak po Chrześciańsku, w najrozleglejszem znaczeniu tego wielkiego słowa, dobroczynność pojąć się nie daje. Aby była powszechną, ogarniającą całą niezmierną rodzinę wydziedziczonych, skazanych na cierpienia, nieporadnych z racyi wieku lub niemocy, musi dobroczynność stanąć wyżej po nad przekonaniami wyznaniowemi, społecznemi, politycznemi, musi się jak grzechu zasadniczego wyrzec namiętności stronniczych, musi nie mieć uszu na żadne względy prócz względu obowiązkowej pomocy, ulgi i rady.

Widzimy wszyscy, jak wadliwą bywa dobroczynność instytucyj, grzeszącą zawsze szematyzmem, oschłością i chłodem obniżającym wartość i doniosłość samej nawet skutecznej pomocy. Wiemy, jak ciasną, rozmijającą się z podstawowemi pryncypiami słuszności musi być koniecznie dobroczynność korporacyi, wysuwająca człowieka swojego tam, gdzie od tego swojego mogą być stokroć potrzebniejsi, których także ani rozum, ani uczucie obcymi nazwać nie pozwala. Może i konieczną z pewnego wyłącznego punktu zapatrywania, ale rażącą boleśnie w wielu wypadkach, stać się może dobroczynność wyznaniowa, a szkodliwą i antychrześciańską okazać się ona może, gdy ją pojmiemy fanatycznie, w wykonaniu oszpecając nadmierną gorliwością i przesadą.

O dobroczynności sfer, stanów, grup społecznych, koteryj i kółek wszelkich barw i odcieni mówić nie można poważnie, bo te wszystkie rodzaje wyłączają stanowczo podkład chrześciański, stając w rażącej sprzeczności z nauką wielkiego pierwowzoru powszechnego miłosierdzia, uwydatnionego choćby w jednej tylko przepięknej legendzie o Samarytaninie.

Francuzi ze swoim fosforycznym dowcipem tworzą często satyry nieporównane, i oto jedną z nich rzucił w tych czasach publiczności paryzkiej świetny feljetonista Anatol France. Obrazek ten skreślony jego piórem mieści satyrę tak zręczną, tyle tam jest subtelnej ironii przy doskonałej znajomości życia sfery uprzywilejowanej we Francyi, że nie wahamy się tutaj podać go w streszczeniu, wychodząc z zasady, że niema wśród społeczności cywilizowanych, takiej, któraby się zmniejszą lub większą dokładnością w tem zwierciadełku przejrzeć nie mogła.

Mowa jest tam oczywiście o dobroczynności koteryjnej.

U pewnej damy (dajmy na to) baronowej de Bonmont, zwołane jest na godzinę 5-tą zebranie filantropijne, pani ta bowiem ożywiona najszlachetniejszemi uczuciami, wysila zwykle swoją wyobraźnię dla przyjścia w pomoc potrzebującym. Jest tam elita prawdziwa tej sfery, ludzie inicyatywy i pomysłów najdoskonalej zharmonizowani sobą przekonaniami, a więc pani Herta, panowie: Józef Lacrisse, pewien mały baron, Henryk Leon, i Paweł Liguier—wszystko członkowie komitetu rojalistycznego, którzy po ostatnich bohaterskich wysiłkach swego stronnictwa, szukają w filantropii odwetu za doświadczoną porażkę w polityce. Po sporcie agitacyi — sport miłosierdzia. Cóż naturalniejszego.

Szlachetna filantropka rozumie dobrze, że tym razem należałoby zaimponować czemś tłumowi koniecznie. Wszyscy zgadzają się na to, że trzeba zrobić coś niezwykłego, wypada tylko postanowić co—jak, i kiedy. Aby stanąć na wysokości, godziło się uczcić wyjątkowe położenie członków zgromadzenia, a więc podczas gdy król *in partibus* odpoczywa sobie w oczekiwaniu pomyślniejszych dni, jego wierni odpoczywać będą czyniąc dobrze.

Oświadcza też z góry gospodyni domu, że nie życzy sobie, aby zgromadzeni kierowali się jakimikolwiek względami partyjnymi — owszem ona sama obejmuje sercem wszystkich ludzi dobrej woli z wyjątkiem Dreyfusistów, co było niejako domyślnem, i niezasługiwało właściwie nawet na wzmiankę. Czyni też to jedynie dla formy.

Ponieważ Paweł Liguier używał jako mówca pewnej sławy między swoimi, jemu pozostawiono scharakteryzowanie teoretyczne uczynków miłosierdzia, w zastosowaniu do chwili obecnej, co też on rozpoczął w tych mniej więcej słowach:

Choćby tylko dlatego, aby przeszkodzić niespokojnym umysłom do ich deklamacyj na temat solidarności społecznej, wypadałoby nam koniecznie zrobić coś doniosłego dla nieszczęśliwych. Nie można zaprzeczyć, prawił mówca, że człowiek ubogi czuje pewien popęd do dawania uboższemu jeszcze od siebie. Jestto zupełnie naturalnem, i nie należy z tego wysnuwać wniosków przemawiających na korzyść jego istoty moralnej. Biedak jeśli się ogołoci, nie czuje przedewszystkiem wielkiej różnicy. W jego położeniu trochę mniej, trochę więcej, to już wszystko jedno prawie. Zresztą gdy się raz postanowi żyć z dnia na dzień, nic już nie dolega wtedy. Ztąd też tak mało widzimy roztropnych między biedakami, bo i na co w gruncie rzeczy przydałby im się ten przymiot szacowny.

Z bogatymi ma się rzecz wprost przeciwnie. Dawać, ale tak dawać, aby mieć samemu zawsze—oto w czem trudność. Ująć coś z budżetu mądrze obmyślanego — uszczknąć cząstkę jakąś z tej całości harmonijnie ułożonej, oto sztuka prawdziwa. Miłosierdzie bogatych stanowi kunszt istotny.

Niechaj ludzie nie zapominają o tem, że człowiek możny, który jest zarazem człowiekiem przekonań, w chwili, gdy ma pofolgować swemu przyrodzonemu popędowi wyświadczenia miłosierdzia, staje wobec konieczności poważnego rozważenia: azali mu wolno krok taki uczynić— czy ma prawo być dobroczynnym, czy sumienie za ten, zkąd inąd zaszczytny popęd, nie będzie mu kiedyś robiło wyrzutów.

Szmer uznania pozwala mówcy odetchnąć na chwilę, poczem przystępuje on do szczegółów swego założenia:

Człowiek bogaty ma obowiązek zdania rachunku ze sposobu używania darów doczesnych i dzieciom, i familii, i stanowi, do którego się zalicza, i religii, i zasadom odziedziczonym. Jego środki to siła — zarówno jego własna, jak i stronnictwa, do którego należy. Dać można, ale wiedzieć potrzeba: ile—jak—komu?

I mimo tych niezmiernych trudności szafunku, miłosierdzie nie słabnie, tylko trzeba umieć dojrzeć dar tam, gdzie on tkwi w istocie, mimo pozorów wbrew przeciwnych. Niezmierna jest różnorodność świadczenia dobroczynności. Wszakże kobiecie naszej sfery trudno kroku jednego postawić, tak, aby poza nią nie został w jakiejkolwiek formie spełniony dobry uczynek. Jej kapelusz, jej suknia, jej koronka, wieleż to one rąk pożywiły zanim je włożyła na siebie, wiele łez otarły nieszczęśliwym. Nie darmo przecież mówią ekonomiści wielkiej szkoły, że niema dobroczynności równie szczodrej, jak zbytek. A w dodatku mamy przytem to zadowolenie, że nie podaliśmy ręki tym, którzy nam są najprzeciwniejsi, nie uleczyliśmy występku, ani dopomogli społecznemu przewrotowi.

Powiedziawszy, co się dało o dobroczynności mimowiednej, przystąpił mówca do zcharakteryzowania tej, którą nazwaćby można programową.

Musimy, powiada p. Liguier, połączyć dobroczynność z dobrem ogólnem i do tego celu, ja proponowałbym kandydatury przez emulacyę. Należałoby zorganizować ubóztwo w kohorty po 50 naprzykład ludzi. Każda kohorta mieć będzie swojego naczelnika, którym oczywiście mianowany byłby ten, któryby się okazał najgorliwszym w spełnianiu przepisów wiary, i manifestował najwięcej czci dla istniejących ustaw społecznych.

Jeśli zdołamy przeprowadzić tę organizacyę, obudzimy podobne uczucia szlachetnej emulacyi, a tłum raz na zawsze przestanie być rzeczą szpetną i niebezpieczną.

Mimo uznania zupełnego dla myśli wnioskodawcy, znalazły się i inne projekty, boć przecie każdy przyniósł tu ze sobą coś wypielęgnowanego w sercu i mózgu gwoli pożytku ludzkości cierpiącej. Gospodyni domu znająca wysoką dla publiczności paryzkiej wartość każdej rzeczy nowej, proponowała nieustający, tak zwany, bar miłosierdzia publicznego, w którym sprzedającemi napoje wyszukane, byłyby damy. Przyciągałoby to niesłychanie— kupujących nie brakłoby nigdy. Ktoś jednak z obecnych zrobił słuszną uwagę, że nawet największa ofiarność musi mieć granice i dlatego społeczność nie ma prawa żądać, aby jego część najprzedniejsza w osobie kobiet poświęcała się codziennie i to od rana do wieczora. Uwagę uznano za słuszną i gospodyni sama musiała zmodyfikować gotowość własną i wprowadzić tę poprawkę: Damy będą sprzedawać ale tylko w Piątki. W dnie powszednie zastępować je mogą osoby równie powabne i równie strojne... tylko nie mające prawa uchodzić za damy. Nie zmniejszy to frekwencyi, a ostatecznie trzeba przecież zrobić coś dla tej nędzy.

Zakończeniu temu towarzyszy rozumie się otarcie ukradkowe łzy ciepłej, uronionej pod adresem chorych, głodnych i potrzebujących. I ten projekt przyjęto w zasadzie.

Na ostatku przemawia Henryk Leon. Ten uważa wszystko, co było dotąd powiedziane, za uczciwe wprawdzie i słuszne, a nawet pożyteczne, ale są to tylko półśrodki. Rzecz trzeba wziąść głębiej. Właściwie mówiąc, tak zwanych ubogich należy zostawić na boku. Niechaj się wydobywają z kłopotu, jak mogą — to już ich rzecz nie nasza. Dobrodziejstwem prawdziwem będzie siać zdrowe ziarno oświaty w dusze człowieka ciemnego, i to nam nakazuje obowiązek przedewszystkiem. Bałamucą głowę robotnikowi ci, którzy się społecznikami nazywają — nazwijmy się społecznikami i my także. Zakładają dla nich uniwersytety ludowe—zakładajmy uniwersytety ludowe i my również. Nauczać w nich będziemy pod hasłem rozwoju pojęć społecznych—wykazywać będziemy prawowitość posiadania i opatrznościową bezpośrednio interwencyę widoczną w tym szafunku darów ziemskich, a w końcu przedstawimy tym, którzy twierdzą uporczywie, że cierpią i pragną, wystawimy im zbawienne następstwa cierpień, jeśli nie w tem, to w przyszłem życiu. Ten, kto potrafi potrzebującemu wszczepić uczucie rezygnacyi, ten wyświadczy mu istotne dobrodziejstwo.

Tak przedstawia Anatol France ducha i działalność paryzkiej dobroczynności aksamitnej.

X...y.

Z kroniki żałobnej.

Kraków i Galicyę całą zelektryzował w najwyższym stopniu zaszły tam w ubiegłym tygodniu tragiczny prawdziwie zgon dr. Napoleona Kostaneckiego. Zmarły używał wziętości w sferach nietylko naukowych; popularność jego datuje od dosyć dawna, czego dowodzi wybór jego w swoim czasie na prezesa Towarzystwa Bratniej Pomocy Akademickiej. Po uzyskaniu dyplomu doktora nauk lekarskich, został asystentem katedry fizyologii dra Cybulskiego, wkrótce jednak zajął się specyalnie studyami bakteryologicznemi i zajął stanowisko asystenta prywatnego przy dr. Bujwidzie.

Zajęty od jakiegoś czasu pracą nad bakteryami dżumy azyatyckiej, zapadł ś. p. Kostanecki nagle na ostre zapalenie płuc, którego przebieg cały i charakterystyczne objawy towarzyszące chorobie, pozwoliły sferom lekarskim przyjść do wniosku, iż choroba zmarłego była istotnie dżumą, a prawdopodobieństwo podwyższało to, że zajmował się właśnie kulturą zarazków i otrzymywaniem surowicy.

Wieść taka niezależnie od straty dzielnego pracownika na polu nauki i człowieka cieszącego się szacunkiem powszechnym, wieść taka rozejść się musiała oczywiście szeroko, siejąc trwogę wśród mass, wywołując ze strony sfer naukowych i władz czuwających nad bezpieczeństwem publicznem, cały szereg środków ochronnych, powiedzmy odrazu niekoniecznych albo całkowicie niepotrzebnych. Rodzinę zmarłego izolowano niezwłocznie i zaszczepiono wszystkim jej członkom surowicę przeciwdżumową, i toż samo przedsięwzięto względem lekarza, który zmarłego w ostatniej chorobie pielęgnował. Wszyscy oni zostali odosobnieni a willę podmiejską „Modrzejówkę,“ przeznaczono odrazu na ewentualny szpital w razie, gdyby epidemia okazała się faktyczną, a ofiar jej miała być liczba większa.

Rzecz naturalnie transpirowała i dalej, i bezzwłocznie też z polecenia ministeryum spraw wewnętrznych protomedyk dr. Merunowicz zbadał cały zakład bakteryologiczny dr. Bujwida i wysłał do Wiednia szczegółowe o nim sprawozdanie. Laboratoryum mieści się w dwóch budynkach — w jednej części znajduje się zakład badania środków spożywczych—w drugim jest laboratoryum hygieny. Okazało się, że względy ostrożności obowiązującej w takich instytucyach zachowywane były w zakładzie dr. Bujwida jak najskrupulatniej; sala szczepień i kultury zarazków była izolowaną, tak, że niebezpieczeństwo rozprzestrzenienia się bakteryi na zewnątrz zakładu było wprost niemożebnem.

Niezbywało mimo to z okazyi tego wypadku smutnego a zagadkowego i wystąpień takich, które jako niewłaściwe i obrażające powagę pracy dla dobra publicznego podjętej, zasługiwałyby na przytoczenie szczegółowe, gdybyśmy waśni, napastliwości i metody szerzenia popłochu wszelkiego rodzaju, nie mieli i bez ostatniego faktu aż do zbytku w otoczeniu najbliższem. Ostatecznie zapomniano w tych osobistych atakach, że gdyby nie tego rodzaju instytucye wogóle, nie mielibyśmy osiągniętej w ostatnich czasach zmniejszonej śmiertelności w chorobach błonicy, wścieklizny, nie byłoby studyów nad gruźlicą, jeśli nie tyle dobroczynnych już dzisiaj, tak jakbyśmy tego pragnęli, to przynajmniej rokujących w przyszłości nauce jeden z jej tryumfów najwyższych. Tego wszystkiego byśmy nie mieli, ale o tem wszystkiem zapomina w godzinach baraniego popłochu tchórzliwa namiętność — to wszystko szerzy i upowszechnia niekrytyczne, a wściubne nad miarę dziennikarstwo. Dzięki rozporządzeniom wydawanym w chwilach takich, ludzie pracy i poświęcenia, z których jednego oto znowu zabrała własna jego gotowość i oddanie sprawom ulżenia nędzy i cierpieniom — ludzie tacy stają niekiedy przed ogłupiałą opinią. niby szerzyciele klęsk i zniszczeń.

Gdybyż powściągliwszymi być umieli rozmaici stróże publicznego dobra! Bez lekarzy bakteryologów znaleźć można dosyć tarczy dla pocisków, byleśmy te tarcze krytyczniej i trafniej rozpoznawać niż to ma miejsce dotąd, i oceniać się nauczyli.

Tymczasem sprawa cała, o ile dotyczyła faktu rzekomej zarazy, przedstawia się dzisiaj tak:

Badanie kultur przeszczepionych ze zwłok s. p. dra Kostaneckiego wykryło tylko obecność *streptokoków* (bakteryi gnilnych) i tak zwanych *pneumo-bakcylów* Friedlandera (właściwych procesowi zapalenia płuc); bakteryi dżumy w organizmie zmarłego nie wykryto wcale. Potwierdzenie tej naukowej ekspertyzy znajdujemy w fakcie, że stan zdrowia rodziny pozostałej po dr. Kostaneckim, której członkowie nieopuszczali chorego aż do ostatniego tchnienia, jest zupełnie pomyślny, i żadnych obaw nie budzi, a i świnki morskie, którym zastrzyknięto krew ze śledziony zmarłego, żyją dotąd i są zdrowe. O tem wszystkiem zawiadamia prezydent miasta Friedlein w odezwach rozlepionych po rogach ulic, pod datą 22 Stycznia.

Niema wszakże popłochu bez następstw ujemnych. Na skutek rozporządzeń administracyjnych, którym dr. Bujwid mimo protestów swoich poddać się musiał, wszystkie preparaty i wyniki doświadczeń dokonanych w laboratoryum jego, wszystkie zwierzęta, którym szczepiono różnego rodzaju bakterye, zostały zniszczone. Jednem słowem poszła na marne dwuletnia praca ludzi poświęconych nauce.

Okazuje się przy każdej sposobności, że stajemy się społeczeństwem ludzi nerwowych, o pobudliwości niesłychanej na każdy alarm, że tracimy głowę w pierwszej chwili faktycznej czy imaginowanej klęski, że nam brak równowagi umysłowej, spokoju ducha i krytycznego sądu. Społeczności podobne liczyć należy do chorych, a w najlepszym razie do słabowitych, wątłych, podupadających duchowo i cieleśnie zarazem. Jakby to dobrze było, gdybyśmy dla wzbudzenia w sobie obowiązkowej godności człowieczej przypominali sobie w okolicznościach takich i analogicznych przepiękne opowiadanie starego Dębickiego w „Emancypantkach“ Prusa. On mówi, że tak było niegdyś:

Wieść o nadchodzącym niechybnym końcu świata na skutek zapowiedzianego przez na

ukę starcia się planety naszej z jakiemś zabłąkanem w przestworzach ciałem niebieskiem, nabiera z dniem każdym, z godziną i chwilą każdą, coraz większego prawdopodobieństwa. Ludność miasta pewnego szaleje z trwogi i rozpaczy; wszystkie lichoty i mało duszności wszelkie wychodzą na jaw, niema tam już prawie ludzi, jest tylko brzydka spłoszona trzoda. Bogatemu żal się rozstawać z jego dostatkiem, ubogiemu żal jego nędzy, chory i kaleka targować się gotów o przedłużenie nędznego bytu; młodzi i starcy, uczeni i głupcy, to tylko jedna czerń czepiająca się ziemi, wołająca o życie za wszelką cenę.

Były tam jednakże, jak nam opowiada autor, dwa stany, które ocaliły honor człowieczeństwa—był żołnierz i szarytka — ci dwoje patrzących śmierci w oczy codziennie, gotowi byli na śmierć, i czekali na nią bez zmarszczenia oka.

Wątpliwości niepodlega najmniejszej, że w trudnych chwilach ten tylko spełnić może obowiązek, kto jest wyższym nad upokarzające podszepty instynktu zachowawczego — kto potrafi umrzeć.

Oby matki wychowując synów umiały im wszczepić nie pogardę życia taką, jaką nam przekazał świat stary, ale pogodę i gotowość ofiary z życia w warunkach danych, których nas nauczyć było powinno Chrześcijaństwo.

K.

Ruskin o wojnie.

Wśród chaosu współczesnych prądów humanitarnych między którymi prawdy i szczerości od fałszu, a bezinteresowności od podstępu tak trudno jest ludziom dobrej wiary odróżnić, nie od rzeczy będzie może zapoznać czytelnika z treścią zapatrywań tego myśliciela na jedno z najczęściej roztrząsanych dzisiaj zagadnień — mianowicie na moralność, a tem samem przyszłość wojny.

Nie harmonizował się bynajmniej Ruskin ze współczesnem apostolstwem wiecznego pokoju, a nie harmonizował w zasadniczych punktach, i nietylko że nie potępiał ryczałtowo wojny, ale wbrew przeciwnie uznawał jej w wielu razach konieczność, i rozróżniał wojny potrzebne i konieczne od wojen niegodziwych—zbrojne starcia moralne i zbawcze dla ludzkości, od tych, które upadlają społeczności i stawiają tamę dobrze pojmowanemu postępowi.

Ztąd też po śmierci tego człowieka nietylko obcy, ale i Aglicy są pewni, że gdyby był Ruskin zapytywanym o zdanie w sprawie wojny Transwaalskiej naprzykład, z pewnością nie miałby dla niej jednego słowa uznania. Jako dowód przytaczają charakterystyczniejsze z jego słów, a między innemi te, któremi w swoim czasie przemówił do młodzieży szkoły wojskowej w Woolwich. Oto te pamiętne wyrazy:

„Nie chciałbym w tem miejscu wdawać się w politykę, ale mam sobie za obowiązek wyznać bez ogródek, że jeśli idzie o zasadę rycerskości narodu angielskiego, to utracił ten naród swoje ostrogi w ciągu ostatniego dziesiątka lat. (Czy tylko w tym okresie czasu? Red.). Walczyliśmy niejednokrotnie tam, gdzie się walczyć nam nie godziło, a zaniedbaliśmy rzucić na szalę wypadków naszego miecza, gdzie należało go rzucić. Bolesnem jest dla Anglika przyznać, że w tej abstynencyi naszej motywem był nam strach, bojaźń prosta, i dlatego ja nie waham się powiedzieć wam, że brzydka metoda nieinterwencyi, która bywa apostołowaną u nas dzisiaj tak gorliwie, jest w pobudkach swoich lichszą i egoistyczniejszą, niż sam nawet szał zaborczy, albowiem do uczucia antyhumanitarnego dołącza tchórzostwo.“

W innem miejscu powiada Ruskin.

„Ludzie, a nie rozległe obszary ziemi stanowią wielkie narody. Szaleństwo zdobywców stanowi to, że zamiast objawów życia szukają terytoryów."

Stoi tedy, jak widzimy, Ruskin w jaskrawem przeciwieństwie z większością moralistów dzisiejszych odnośnie do wojny. Zobaczmy w jaki sposób usprawiedliwia on swoje opinje, i co tym ostatnim nadaje cechę owej szczerości i prawdy, o których nadmieniliśmy powyżej. Przytoczymy te myśli w streszczeniu, przekonani będąc głęboko, że nietylko nie przynoszą one ujmy pamięci wielkiego apostoła prawdy i piękna w życiu, ale stanowią szacowne nabytki, którym niechaj nam wolno będzie wróżyć przyszłość, na szerszą biorąc metę.

„Wbrew przeciwnie, jak się to wydaje wielu, sztuka wzięta w całej czystości i szlachetności swojej, nie jest bynajmniej córą pokoju. Zawsze wielkie dzieła sztuki rodziły się jedynie wśród narodów rycerskich. Ludy pasterskie tak długo jak kosztowały tak zwanych błogosławieństw pokoju, nie wytworzyły u siebie wielkiej sztuki. A jeśli iść nam będzie o pogodzenie dobrodziejstw handlu z dobrodziejstwami sztuki, przyznać będziemy musieli, że jakkolwiek one pod pewnym względem istnieć mogą obok siebie, ale że pierwszy nie wytwarza drugiej, to fakt niezbity. Co zaś do przemysłu, to nietylko że nie stworzy on sztuki, ale wyplenia najstaranniej wszelkie jej nasiona w narodzie.“

Stanąwszy na gruncie tej prawdy, mówi Ruskin dalej:

„Rozważmy, powiada, że hazard wojenny jest jedyną grą, w której naród każdy wprowadza w akcyę wszystkie najpodnioślejsze dary swego ducha, i że uwydatnia je w tem właśnie, co stanowi jego wyższość w posługiwaniu się orężem. Rezultatem tej gry jest że zwycięzca przedstawia się lepszym o tyle, o ile wypielęgnował w sobie uczucia podnioślejsze, albowiem dowiódł on w tej imprezie konieczność ducha ofiarności — dowiódł, że jest on albo wolnym zupełnie, albo przynajmniej mało przystępnym uczuciu trwogi — że jednem słowem jestto naród, który ma nerwy najmocniejsze, a oko i rękę najmniej zawodną. O stopniu tych wszystkich przymiotów w jednostkach i narodach wolno nam wtedy tylko wydać sąd uzasadniony, gdy walka kończyć się może śmiercią."

Był też Ruskin zdecydowanym nieprzyjacielem wszelkiego miotania pocisków na żołnierza z zawodu i powołania — równie jak tych wykrzykników wyszłych w formie haseł ze szkoły Manchesterskiej o podaży i popycie, niemniej teoryjek wszelkich o wolności indywidualnej recytowanych przez V. Hugo naprzykład i jego następców.

Ironicznie, jak to zobaczymy, odpowiada on na to wszystko:

„Filozoficznie niby biorąc, trudno jest dosyć zrozumieć na pierwszy rzut oka, dlaczegoby człowiek spokojny, którego profesyę stanowi kupowanie i sprzedaż—dlaczego człowiek taki używaćby miał koniecznie mniejszego szacunku publicznego, niż ten, o którym mówią, że jego proceder stanowi zabijanie sobie podobnych. I dlaczego tedy wbrew wszystkim utartym rozumowaniom filozofów, ludzkość honorowała zawsze, honoruje dotąd, a podług mnie honorować będzie zawsze, wyżej żołnierza od kupca i przemysłowca?

„A ja wam powiem dlaczego, mówi Ruskin. Oto widzicie dlatego, że właściwe rzemiosło żołnierza nie w tem leży, żeby zabijać, ale żeby się dać zabić, i to jest właśnie ta gotowość, przed którą świat skłania głowę. Bo świat nigdy nie czcił zabójców. Powodem dla którego on czci człowieka noszącego broń, jest to, że tę broń nosi on z narażeniem życia w obronie swego kraju, czyli w obronie swoich współobywateli—ich sławy i bezpieczeństwa.“

Myśli te kończy temi słowy:

"Mówimy o pokoju i oświacie — o pokoju i bogactwie — o pokoju i cywilizacyi, ale ja przekonany jestem, że nie są to pojęcia, które duch dziejów kojarzy ze sobą. Ja czuję, że ten duch pojmuje to raczej w ten sposób: pokój i panowanie zmysłów — pokój i egoizm— pokój i śmierć. Bo wszak wszystkie narody wielkie żywiła wojna, a zabijał spoczynek na puchowem łożu — wszystkie je uczyła wojna, a zawodziły niezmiennie ułudy pokoju—jednem słowem wszystkie narody rodzą się i zakwitają wśród szczęku oręża, a giną w tym rozkładzie spoczynku, który my ze sztuczną egalizacyą nazywamy pokojem.“

Nazwaliśmy te przekonania, a zarazem te wskazania pozostawione przez Ruskina, szczeremi i szlachetnemi; przyznaliśmy im prawdę i żywotność z tego mianowicie punktu zapatrywania wychodząc, że wiele bardzo dzisiejszych deklamacyi rzekomo humanitarnych od dziedziny polityki poczynając, na pedagogii skończywszy, uważamy za dzieło obłudy, w wysokim stopniu obrażające poczucie słuszności wrodzone przecież człowiekowi każdemu. Jakoż chcieć wszczepiać dziecku dzisiejszemu pojęcie o rozpoczynającej się jakiejś erze powszechnego braterstwa i miłości, jestto uczyć je błędnie i tłómaczyć mu mylnie drogi, któremi wiedzie ludy Opatrzność do celów swoich. Społecznie rzeczy biorąc, chcieć na płonce dzisiejszego życiowego egoizmu i cynicznej sytości zaszczepiać kwiat onych idealnych pojednań, jestto obrażać prawdę i urągać szyderczo całemu ogromowi ludzkości, pozostającemu na zewnątrz tych zbratań rzekomych. Ruskin wiedział dobrze dlaczego demaskował tę obłudę całą.

S.

JULIUSZ ZEYER.

Na pograniczu obcych światów.

przełożył MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

Z tła dawnych wspomnień wynurzał się obraz Flory w niewyraźnych zarysach. Była jeszcze dorastającem dzieckiem, gdym ją po raz ostatni przed laty widział. Była wówczas nieładna, śniada, sucha, tylko oczy w stosunku do drobnej twarzyczki aż za duże, miała niezwykle piękne.

Flora Frydecka wydawała się zawsze zamyśloną, nawet w epoce, gdy sukienki lalek jeszcze prawdopodobnie największą jej były troską. Niewątpliwie lgnąłem zawsze szczerą przyjaźnią do marzącego tego dziecka, ale aby przedstawić sobie Florę teraz jako dziewczę choć trochę powabne, na to nie starczyły wszystkie wysiłki mojej wyobraźni.

Pokręciłem głową. Kupiecki sposób, w jaki ojciec plany swoje co do mego wyłożył ożenku, budził we mnie niechęć, a rozgoryczenie moje względem kobiet, które wydawały mi się wszystkie bez wyjątku siostrami wiarołomnej Adelmy, wzmagało się im dalej, tem bardziej.

Usiadłem na łóżku i roześmiałem się z własnej powagi. Toć byłem panem swej woli! Po cóż tedy dręczyłem się, jakby mnie ktoś zmuszał do uległości? Po co brałem na seryo te chorobliwe widziadła zmęczonego mózgu biednego ojca? Najlepiej będzie zdecydować się zaraz i powiedzieć sobie stanowczo: „Odrzucam niepraktyczną radę nieboszczyka, nie ożenię się, posłucham ojca tylko co do tego, że z wytężeniem wszystkich sił oddam się zarządowi majątku, i w ten sposób, przez mądre gospodarstwo i przykładną oszczędność, pozbędę się zwolna odziedziczonych długów. Lecz swej wolności się nie zrzeknę! Frydecki niech sobie szuka innego męża dla swej córki, i innej hipoteki dla swego kapitału!

To rozwiązanie powróciło mi spokój i usnąłem nareszcie po długich tych rozmyślaniach.

III.

Nigdy przedtem nie pracowałem z taką wytrwałością i pilnością, jak teraz. Przed wschodem słońca bywałem już na nogach, zaglądałem wszędzie, gdzie potrzeba było dozoru, pomagałem wszędzie wedle sił i chętnie przykładałem nawet sam ręki do pracy. Byłem przykładem w majątku dla całej czeladzi. Poczciwi wieśniacy, którzy każdego człowieka delikatniejszych obyczajów za zdechlaka i niedołęgę uważają, zdumiewali się widocznie. Starzy służebnicy ojcowscy nie taili swej radości i wyznawali mi otwarcie, że czegoś podobnego nigdy po mnie nie oczekiwali.

Wkrótce przywiązałem się całą duszą do nowego zajęcia, nietylko dla zysku, ale i gwoli rzeczy samej. Nie pojmowałem, jak mogłem być tak zaślepionym, by nie widzieć, jakiego szczęścia gospodarstwo wiejskie może być zdrojem. Poznałem teraz dopiero, jak przyjemnem jest znużenie po pracy prawdziwej, pożytecznej, a im więcej nabierałem doświadczenia, tem milszym stawał mi się nowy rodzaj życia. Przyroda nowe mi teraz okazała oblicze, którego dotąd nie przeczuwałem.

Nie szukałem już wdzięku jej w malowniczych jeno widokach i sceneryach romantycznych, odnalazłem jej wielkość w małych, blizkich, nieznacznych przedmiotach. Nie mówiła już, jako dawniej, do mej wyobraźni, dotykała wprost mego serca. Ozwała mi się głosem tkliwym, jako matka do wracającego dziecięcia, mową prostą, otwartą, której przedtem nie rozumiałem. Odczułem spokojne, marzące życie roślinności, poznałem, jak każde źdźbło trawy własnym żyje żywotem, i wkrótce uznała mnie ta wielka, kwitnąca rodzina ziół za brata starszego, a dusza moja znalazła pokrewieństwo w nizkich trawach łąk i w szumnych lasu drzewach. Jakież miłe były te spotkania!

Jak słodki rozbrzask jutrzenny, występowało we mnie wówczas po raz pierwszy z mroku niewyraźnych myśli wzruszające poczucie, że człowiek, ta pycha ziemskiego stworzenia, w skrytym jest związku ze skromną istotą cichej roślinności, że korzeń istnienia ludzkiego tai się w głębiach życia roślinnego, i że miły, błogim snom podobny żywot tych dzieci światłości, jest źródłem zagadkowego naszego jestestwa. Nigdy nie czułem wyraźniej tego pokrewieństwa między człowiekiem i kwiatem, jak kiedym legiwał śród wysokich wrzosów, pijany wonią ziemi, słonecznymi przegrzanej promieniami, gdy ucho napełniały mi łagodne, ciche szepty wietrzanych podmuchów, a oko zanurzało się w zawrotnych głębiach błękitu nademną, tak, że myśli moje traciły wyraźne zarysy i stawały się znowu tem, z czego powstały — uczuciami, i gdy serce w piersi namiętną wzbierało tęsknotą ku czemuś nieznanemu, nieskończonemu. To marzące zapominanie o swem „ja," to rozkochiwanie się w światłości i wietrze, podobne było zaiste jakiemuś rozkwitaniu...

Jakże znaczącą jest stara baśń, która opowiada, że o wiośnie świata kwitło drzewo, którego owocem był człowiek! Było to podobno drzewo drzew, streszczające w sobie wszystką siłę i wszystek żywot całej roślinności. I dlatego było później drzewo świętem dla ludzi, było im nietylko pradziadem, lecz i symbolem, obrazem wszechświata, bo ten także jest drzewem, na którego latoroślach gwiazdy i światy rozkwitają jak kwiaty, a którego korzenie spoczywają w łonie samego bóstwa. Drzewo było przeto także, jako król i kapłan całej roślinności, pośrednikiem między bogami i ludźmi; pod jego gałęziami zasiadali sędziowie, w cieniu jego wsłuchiwali się od czasów zamierzchłych prorocy i wybrańcy w tajemne szumy jego liści, z których Bóg do nich przemawiał, czy to na szerokiej równi wyżyn Dodońskich odbywał się ten „cud nie do uwierzenia," jak Ajschylos śpiewa, czy też w Mamre i na górze Efraim, jak poezya głosi hebrajska.

Palm, cedrów i dębów proroczych nie znalazłem wprawdzie w naszej krainie, ale owocowe moje drzewa w sadzie wystarczały mi zupełnie. Nie poruszały wprawdzie wyobraźni wieszczymi szumy, ale miały w powierzchowności coś poczciwego, dobrodusznego, i stały mi się jakimś rodzajem zwierząt domowych. W dziecinnych napadach wyobrażałem sobie niekiedy, że znają mnie jako stada moje i moje psy. Była to niewątpliwie myśl nieskończenie dziwaczna, ale bądź co bądź podobne wyobrażenia były mi zawsze na długo źródłem prostej, niewinnej rozkoszy, i dni płynęły mi w tem zaciszu spokojnie szczęśliwie; czułem, że odżywam — dusznie i cieleśnie. Niestety, idyliczne to życie zbyt prędki spotkał koniec.

Mniej więcej w trzy miesiące po śmierci ojca doszedł mnie list od pana Frydeckiego. Zaraz w pierwszym tygodniu po przyjeździe z Paryża podziękowałem mu listownie za wzięcie udziału w pogrzebie ojcowskim, ale Frydecki nie odpowiedział mi, aż teraz dopiero. Po krótkim wstępie, zapraszał mnie bardzo natarczywie do siebie, robił aluzyą do tego, co podobno „z nieboszczykiem ojcem byli postanowili," i wyraził ufność, że jestem w plany ich wtajemniczony. Nie chciał pono pisać do mnie wcześniej, bo pragnął zostawić mi dość czasu do rozważenia tak poważnego kroku. Córka jego, zapewniał, o niczem nie wie.

„Odnów śmiało dawną znajomość — pisał— nie zobowiąże cię to ostatecznie do niczego, jeżeli przyjedziesz nas odwiedzić. Jeżeli Flora ci się nie spodoba, nie poprosisz wprost o jej rękę; mnie tem bynajmniej nie urazisz. Ale tak czy owak, przyjedź, i to co najprędzej!"

List ten wydał mi się tak mało delikatnym, żem chciał w pierwszej chwili krótko odpisać i propozycyę poprostu odrzucić. Ale dwie niespodziane przyczyny zmieniły mój zamiar. Przedewszystkiem jęła ogarniać mnie coraz większa, niepojęta ciekawość ujrzenia znowu Flory, a powtóre, pomimo pilności mej i oszczędności, oblegały mnie właśnie podówczas dość poważne trudności pieniężne, które do zimnego skłoniły mnie rozumowania. Czemużbym nie miał zawrzeć związku, który obiecywał mi korzyści materyalne i pozwalał spodziewać się rzeczywistego szczęścia rodzinnego? Nie wierzyłem już wprawdzie w miłość. Dobrze. Ale czyliż do porządnego małżeństwa potrzeba istotnie tego chorobliwego, od czasu trubadurów pod niebiosa wynoszonego, uczucia? Wzajemny szacunek i wyrozumiałość obojga małżonków wystarczą z pewnością zupełnie. Nie miałem potrzeby wyrzucać sobie, że snadź dla zysku zawieram ten związek. Sprzedać się jest niewątpliwie zawsze podłością, ale odrzucać rękę dziewczęcia tylko dlatego, że związek z niem i co do innych doczesnych rzeczy obiecuje korzyści, wydało mi się po dłuższej rozwadze prostem waryactwem. A ostatecznie, czyliż nie obiecywało to i dla niej korzyści, że stanie się panią takiego, jak mój majątku, który przy zobopólnej pracy i staraniu można było do wysokiego stopnia podnieść i rozwinąć?

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

KRONIKA.

Odczyty w Wielkim Poście.

Zarząd osad rolnych dla pomnożenia dochodów swoich zorganizował seryę odczytów, o których mamy sobie za obowiązek powiadomić czytelników naszych szczegółowo. Wygłoszą tedy:

Adwokat Stanisław Bełza rzecz zatytułowaną „W Pireneach.“ Odczyt urozmaicony będzie obrazami niknącymi — Dr. Aleksander Fabjan dwa odczyty na temat: „U schyłku wieku“ — Dr. Maksymilian Flaum mówić będzie o bólu — P. Wiktor Gomulicki o Słowackim — P. Walery Gostomski: „Ernest Hello jako człowiek, poeta i myśliciel“ (dwa odczyty)—P. Kazimierz Gliński o Sienkiewiczu — Adwokat Jan Maurycy Kamiński na temat: „Nie zabijaj!“—P. Stanisław Kramsztyk: „Łokciem i miarką“—P. Walerya Marrené Morzkowska: „Symbolista z przed pół wieku“ — Dr. Henryk Nussbaum (dwa odczyty) „Ideał prawdy“ — Adwokat Antoni Pilecki: „Poeci pessymizmu“—Rejent Wiktor Szumański: „O pojedynku“ — Profesor Józef Webner (dwa odczyty) „Pedagogia i szkoła.“

Pierwszy odczyt zapowiedziany jest na dzień 3 Marca.

Podatek szpitalny.

Pisma codzienne powtarzają zażalenia na ogólną wśród publiczności naszej chęć usuwania się od podatku szpitalnego. Wskutek tego naczelnik zakładów dobroczynnych zwrócił się do Oberpolicmajstra Warszawy z wnioskiem wprowadzenia następujących przepisów przy poborze tego podatku: a) Podatek ma być ściągnięty całkowicie w ciągu miesięcy: Stycznia i Lutego. Osoby, które nie opłacą należności do 1 Marca, będą musiały w razie zasłabnięcia leczyć się na koszt własny; b) Polecić rządcom domów dokładne prowadzenie kontroli, kiedy i za jakim kwitem opłacił który z lokatorów podatek szpitalny; c) Komisarze policyi mają prawo przy zwrocie korespondencyi komunikować radzie miejskiej dobroczynności publicznej, kiedy mianowicie osoby, o których mowa, rzeczony podatek uiściły.

Wogóle co się tyczy tej należności, zdaje się, że chęć uchylenia się od jej opłaty jest dosyć niezrozumiałą u ludzi jakiegokolwiek umysłowego rozwoju. Sam w sobie podatek ten uciążliwym nie jest, fundusze szpitalne, jak wiadomo, szczupłe są u nas bardzo — co więc myśleć o takiej drobiazgowej chciwości na rubla tych wszystkich mianowicie, którym rubel wielkiej rożnicy nie robi.

Ogrodnictwo.

Urządzane corocznie przez Warszawskie Towarzystwo Ogrodnicze odczyty wraz z demonstracyami rozpoczną się w roku bieżącym, w pierwszą Niedzielę nadchodzącego miesiąca Lutego. Przedmiotem traktowanym w roku 1900-ym przez p. Stefana Jankowskiego agronoma, będą wskazówki do rozpoznawania gruntów, ich własności i zasilanie nawozami. Objaśnienia popierać będzie prelegent okazami skał, nawozów, roślin, rysunkami i t. p. Przez cztery z rzędu niedziele mieć będą miejsce te odczyty w Bagateli — własności Tow. Ogrodniczego. Piąty odczyt w d. 4 Marca wygłosi p. Edmund Jankowski wiceprezes Towarzystwa.

Pogadanka.

Dzisiejsze mieszkania nasze obliczone jedynie na wyzysk miejsca, mają często krzywe pokoje o nierównych ścianach, przedstawiające figury, trudne do umeblowania, i dlatego stoją one prawie bez użytku, jako składy kufrów i wogóle sprzętów mniej potrzebnych. Taki pokój widziałam niedawno; był maleńki o trzech ścianach i do tego kąt jeden odcinał przyrządzony do ogrzewania nowy piec gazowy czy naftowy. Przyrząd ten przypominał nieco dawne kominki, tylko zamiast otworu głębokiego, gdzie rzucano szczapy drzew, była gęsta krata metalowa. Piec ten stał pomiędzy drzwiami prowadzącemi z jadalnego pokoju i drugiemi do sypialni, zasłoniętemi portyerami. Okno tylko na przeciwnej stronie rozjaśniało ciasną tę klateczkę. Zręczna ręka pani domu bardzo gustownie wyzyskała całość, tworząc przy sypialni efektowny gabinecik. Duże lustro o szerokiej ramie ustawiono na piecu, opierało się o narożnikową ścianę. Ramę złotą pokrywał rezedowego koloru welwet wycinany w deseń ażurowy tak, iż przez otwory przebłyskiwało złoto ukrytej spodem ramy; brzegi wypuszczone, tworzyły także listewki złote. Ażurowe wycinki welwetu otoczone były haftem wypukłym jedwabnym, w starozłotym kolorze, który harmonię cieniu tworzył z przebijającemi się od spodu arabeskami złotemi. Małe konsolki welwetem kryte, poprzyczepiano do ramy, na których poustawiano cacka imitujące sewrską porcelanę, a na płycie marmurowej pieca stała wspaniała głowa jakiegoś bohatera starożytności. Z dwóch stron nowożytnego kominka stały ławki mahoniowe, pokryte jedwabną materyą w pasy, koloru malwowego. Taka sama materya oszyta frendzlą z lekkiej draperyi, pokrywała grzbiet obydwóch ławek, po nad któremi wznosiły się z mahoniu rzeźbione półki pozastawiane wytwornemi fraszkami, lustrami w ołowianej oprawie, obrazami ze szkła malowanego i weneckimi kryształami. Tapety zielone, mieniący się kobierzec smyrneński w kolorach złoto-zielonych, tworzyły bardzo efektowną całość.

Drugie takie urządzenie gustowne wadliwego lokalu było następujące.

Pokój był o dwóch oknach, lecz o pięciu ścianach—miał kształt wieloboku. Jedno zatem okno użyto, tworząc sztuczną niszę, nakształt balkonowej. Zręczne ustawienie ram z prętów złoconych stanowiło wejście, rama przymocowaną była do sufitu i podłogi; ustawiona ukośnie, odcinała okno od pokoju, naśladując łudząco wyjście na balkon. Pokój zyskiwał dużo na tem rozdzieleniu. Okno w odrębny sposób niż zwykle, nie było zasłonięte zupełnie, lecz przeciwnie wpuszczało światło w całem bogactwie, dodając życia obiciu i draperyom.

W niszy tej umieszczono o wysokim grzbiecie kanapę wyściełaną, obitą jasno-zieloną materyą jedwabną. Nad nią wznosiła się sztuczna ściana z szyb opalowych ujętych w ołowiane ramy. Całość była piękną głównie umiejętnem dobraniem kolorów zielonych. Tapety jasno-zielone, obicie kanapy zielono-złociste lśniło połyskiem jedwabiu. Portyery i firanki u okien z ciemnego pluszu, opadały w lekkich draperyach, rozrzucając się na kobiercu smyrneńskim także zielonym, lecz w jaśniejszym tonie. Porozstawiane fotografie w pluszowych ramkach, japońska porcelana, patery — wykwintnie uzupełniały myśl artystyczną, która kierowała przy urządzaniu tego pokoju. Tak samo ustawić można sztucznie meble w sali dużej jadalnej, odłączając okno od reszty pokoju.

Wskazówki i rady.

Bitki wołowe w śmietanie.

Pomimo, iż każde siekane wołowe kotlety nie należą do wyższej kuchni, jednak wyjątek tu stanowią tak zwane bitki w śmietanie, jeżeli są bardzo starannie zrobione. Na 2 funty czystego mięsa obranego z żył i kości, pierwszej krzyżowej, żadnego innego brać nie można, namoczyć jedną kajzerkę utartą ze skórki w mleku. Mięso usiekać wołowe na maszynce, cielęce zaś lepiej tasakiem, bo zostawia za wiele żył na nożach od maszynki. Po usiekaniu posolić, trochę popieprzyć, wycisnąć bułkę z mleka przez durszlak, przesiekać z nią jeszcze raz, wbić 2 żółtka, włożyć kawałek masła, białko ubić na pianę, domieszać razem, a wymieszawszy rękoma wszystko, robić na stolnicy kotlety grube na grubość dużego palca, więcej okrągławe jak podłużne. Z tej proporcyi powinno być najmniej 8 lub 9 sporych kotletów. Utarzać je w mące i obsmażyć na dobrem maśle, przy wolnym ogniu, żeby się niezbyt zrumieniły. Wziąść kwaterkę dobrej kwaśnej śmietany, rozbić ją z pół łyżką mąki, podlać tą śmietaną na patelni będące bitki i dosmarzyć w tej śmietanie. Podaje się do nich kartofle à la lyonaise, a kto nie umie ich zrobić, to zwyczajne smażone.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W-na P. L. Stok. Adresu dostarczyć może wydawnicza firma Paprocki i S-ka.

W-ny Ostr. w Kurot. Wymienionej powieści „Tygodnik“ nie drukował.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

JAN GRUCZYŃSKI i S-ka

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr. 7.

CENY PRZYSTĘPNE. na sezon karnawałowy poleca:

Wełny z jedwabiem na suknie wieczorowe.
Jedwabie od skromnych do najstrojniejszych adamaszków.
Gazy i Muśliny jedwabne w najmodniejszych kolorach.
Tiule i muśliny bawełniane fantazyjne.
Aksamity miroir, Koronki, Wstawki, Gipiury i Galony. *CENY PRZYSTĘPNE.*

A. MAKOWSKI i E. RAUER



Pierwsza w kraju fabryka

Wieńców, Kwiatów i Roślin

metalowych

Bukiety na ołtarze.

Girlandy z bluszczu, winogrona, konwalij i niezapominajki.

Krzaki róż w doniczkach. 120

PALMY, KAKTUSY, FIKUSY i t. p.

SKŁAD FABRYCZNY: Senatorska 22, na piętrze. FABRYKA: Aleja Jerozolimska 129.

Kwiaty! Kwiaty! Kwiaty!

Kwiaty balowe, wachlarze z kwiatów.
Wybór ogromny! Ceny fabryczne!

Jan Bohuszewicz
Złota №. 38.
Upraszam Sz. Panie o łaskawe zwiedzenie pracowni, fabryki. 2011

SZTUCZNA CEROWNIA oraz pralnia Firanek i Koronek **Teofili Zalewskiej** 202 | Warszawa Królewska 45 m. 12.

PRACOWNIA SUKIEN

J. KACZYŃSKIEJ

Uczennicy Hersego.
Poleca się na Karnawał. Ceny bardzo przystępne. **Zgoda 5 m. 28.** 2004

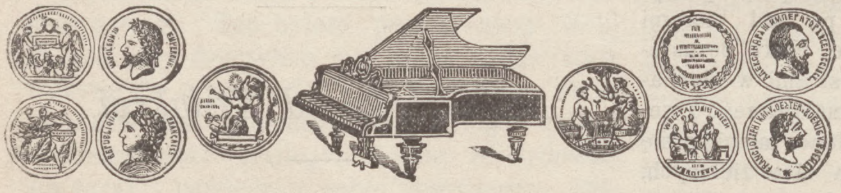
Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.



PUDER IRIS nieszkodliwy, dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs.** Pudełko kop. 15. 30 i 50 **Główny Skład Solna № 9.** 195

SKŁAD MEBLI LUD. PRASAŁEK. poleca w wielkim wyborze meble stylowe oraz kompletne urządzen'a **Salonów, Jadalni, Sypialni i Buduarów**. Ceny przystępne. Ulica Bracka 9 róg Nowogrodzkiej. 20

GRONKIEWICZ Kaucyonowane Biuro Rekomendacyjne **CZYSTA N-r 6** Telefonu 1758.
Załatwia wszelkie czynności w zakres biura wchodzące. 2013 **DZIAŁ DAMSKI** prowadzony bardzo starannie.



MAŁECKI

Fabryka Fortepianów i Pianin

Jedyna fabryka w kraju nagrodzona medalami na wszystkich wystawach wszechświatowych 71M

17. Krakowskie-Przedmieście 17.

Firma założona w Poznaniu w r. 1833.

„Nagrodzony srebrnym medalem na wystawie w roku 1895"

PAROWY ZAKŁAD PALENIA KAWY

oraz

hurtowna sprzedaż surowej.

KAWY PALONE

w naturalny sposób bez sztucznych domieszek i nie glazurowane, aromatyczne i silne w smaku, w cenie od **kop. 50** do **rub. 1.20** za 1 funt w paczkach oryginalnych po 1 f., 1/2 f., 1/4 f. i pudełka 10 f. poleca

I. N. LEITGEBER

KANTOR Krak.-Przed. 6.

Uprzejmie proszę żądać we wszystkich handlach win i sklepach kolonialnych.

Firma założona w r. 1833.

Telefonu № 1699. Telefonu № 1699.

Szkoła kroju, szycia, haftu i bielizny

Anieli Studnickiej

Mistrzyni Cechowej
Warszawa, Pańska №. 18. 2001

Bensdorpa czyste hollenderskie Kakao

wyróżnia się z pośród wszystkich innych marek wyjątkowo **doskonałym smakiem i absolutną czystością,** jest przytem łatwo rozpuszczalne i nadzwyczaj wydajne.

Konkuruje zatem li tylko **wysokim gatunkiem** (przy pełnej wadze puszek), co dla konsumenta tego artykułu jest rzeczą pierwszorzędnego znaczenia.

SKŁAD HURTOWY NA KROLESTWO POLSKIE
w Domu Handlowym
JAGIEŁŁO & KORZYCKI
Warszawa, Bielańska 9. 206

Hollandsche Cacao en Chocoladefabrieken
vh. Bensdorp & Co. A. G.
Amsterdam. Bussum

APTEKA K. WENDY

45. Krakow. Przedm. 45. *Telefonu Nr. 107.*

Istniejąca od czasów elektorów saskich. 45

Wszelkie najnowsze środki lekarskie, Trany, Wina lecznicze, Mydła lekarskie.

Дозволено цензурою. Варшава, 17 Января 1899 г. Redaktor Jan Skiwski. DODATEK.
Wydawnictwo i Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.